

- Nie?
- Pójdziemy tyralierą przez środek lasu.
- Ale stracimy czas, obywatelu poruczniku...
- Pójdziemy przez środek lasu. Jeśli żyje, cały czas może być w ruchu.
- Jeśli żyje - odparł Manteuffel, zerkając ponad moim ramieniem na bliską ścianę lasu.

Zarzuciliśmy kaptury i wyszliśmy spod dachu. Dołączył do nas czekający samotnie na ganku Rajnglas i jeden nieznany mi mężczyzna z opaską ORMO na ramieniu, który przedstawił się jako sąsiad Szalbotów. Mieliśmy szczęście, nastąpiła chwila wytchnienia i ulewa zmieniła się w mżawkę. Przeszliśmy przez zarośniętą ścieżkę nad cmentarzem i zniknęliśmy w deszczowej mgle, leniwie snującej się między drzewami. Szliśmy w pewnej odległości od siebie, będąc niemal na granicy widoczności. Po swojej prawej i lewej stronie widziałem tylko cienie sylwetek Rajnglasa i sąsiada Szalbotów, w gęstniejących oparach coraz trudniejsze do wyłowienia spośród morza drzew. Nawet nasze okrzyki były zwodnicze. Echo niosło się w sposób nieprzewidywalny, zdawało się, że niemal niezgodny z prawami fizyki, nie pozwalając zlokalizować się nawzajem. Raz po raz wydawało mi się, że słyszałem któregoś z nas gdzieś przede mną, niemal widziałem wyłaniające się pomiędzy drzew sylwetki to Manteuffela, to Rajnglasa, a już chwilę potem któryś z nich wpadał na moje plecy. W takich warunkach znalezienie dziewczyny zakrawało na cud. Ona sama mogła równie dobrze błądzić od rana przy samej krawędzi lasu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Albo leżeć na dnie któregoś trzęsawiska, gdzie pozostałaby już na zawsze. Nie dopuszczałem tego do siebie, ale niespokojne myśli i tak cały czas wierciły się gdzieś tam z tyłu głowy.

Szarość deszczowego dnia powoli znikwała, zastępował ją wieczorny mrok. Skierowałem światło latarki na zegarek – była już niemal siedemnasta. Mieliśmy niewiele czasu, aż się zupełnie ściemni – w nocy, nawet dysponując światłem, nie będziemy mieli żadnych szans. Nie w lesie i nie przy tej pogodzie. Rozmyte jasne smugi, promienie z naszych latarek próbujące przebić się przez mgliste opary, już teraz tworzyły jeszcze większy gąszcz drzew. Poskręcane konary i krzaki zmieniały się w ich świetle w nieprzebyte ściany, niemożliwe do sforsowania. Innym razem latarki pokazywały drogę tam, gdzie jej nie było. Światło w tym miejscu było równie zwodnicze co dźwięk. Tymczasem burza wróciła ze zdwojoną siłą. Bardziej czułem, niż widziałem, jak pioruny raz za razem uderzają w wieżę na niedalekim szczycie. Wśród narastającej ulewy błyski ledwie się przedzierały przez ciemności i mgłę, na ułamki sekund tylko lekko rozświetlając opary swoją trupią poświatą. Wściekłe głosy kryjących się w poszyciu lasu lelków nosiły się obłądnym echem, jakby starały się ze wszystkich sił przekrzyknąć dźwięki nawałnicy. Ale czy na pewno przekrzykiwały? Z każdym kolejnym krokiem zdawało mi się, że lelki, skradając się wraz z nami, swymi opętańczymi charknięciami sprowadzały na nas całą moc burzy.

Zwołałem wszystkich do siebie, musieliśmy podjąć decyzję. Milicjanci jednogłośnie, choć też bez szczególnego przekonania orzekli, że ja tu dowodzę i wykonuję każdy rozkaz. Co racja to racja, choć zdanie swoje mogliby wyrazić. Ale sąsiad Szalbotów nietrzymany żadną przysięgą milicyjną nie krył się z tym, co myśli o dalszych poszukiwaniach.

– I tak jej nie znajdziemy, a nie daj Bóg, to sami źle skończymy. Przecież nawet nie wiemy, gdzie jesteście.

Możemy być i pod cmentarzem, możemy być i po drugiej stronie Lasu Smołdzińskiego. Jak tu się włazi między drzewa, trzeba mieć na baczeniu, że Las większy jest niż na mapach. To, że na papierze macie dróżki i granice ładnie obrysowane, nie znaczy, że tak jest naprawdę. W wiosce, skąd jestem, to mieliśmy taki las niedaleko. Mówiło się, że jest trędowny. Połykał ludzi. – Oczy chłopcy wwierciły się we mnie.

– Nie pierdolcie, obywatelu – odparłem. – Nic tu nikt nie połyka, jeśli samemu się o to nie zadba. Skończcie z gusłami, mamy rok czterdziesty siódmy.

Ostatnie moje słowa pochłonął kolejny grzmot. Mantuffel gwałtownie się odwrócił.

– Mamy czterdziesty siódmy rok – powtórzyłem. Ciszej. By nikt poza nami tego nie usłyszał.

– Nikt tam nie łąził. – Ormowiec zignorował mnie. – Nikt nawet chrustu z granic lasu nie podnosił, jeśli życie było miłe. Przekleństwo, chorobę i katastrofy mógł ściągnąć na swój dom. I ten las – machnął ręką w przestrzeń – też taki jest. No i słyszycie przecie, jak kozodoje pieją. One to są diablęta. Jedno dziecko już zmarło dzisiaj, ale chcą więcej. Nie zmarł w lesie, uciec zdołał. To dalej głodne są. Wracajmy lepiej.

– Nie. Idziemy dalej.

Do zachodu słońca została już mniej niż godzina. Choć nie robiło to przecież szczególnej różnicy – burzowe ciemności i tak skryły wszystko, ostatecznie zamieniając dzień w noc. Bezładnie omiataliśmy latarkami wszystko dookoła, licząc, że ich słaby promień przebije się przez szarugę i dostrzeżemy gdzieś tam wątłe ciało żywej dziewczyny. Ale traciliśmy coraz bardziej nadzieję – burza, co wydawało się niemal niemożliwe, przybierała na sile, a w oddali, przez rzadniejący las i mgłę

przebłyskiwały już pierwsze światła chat, które musiały leżeć na obrzeżach Gardny Wielkiej. Dalsze poszukiwania nie miały sensu. Zdecydowaliśmy się wyjść z lasu i dojść do wioski. Stamtąd wrócilibyśmy do Smółdzina główną drogą i rano moglibyśmy wznović poszukiwania. Ale już bez nadziei na znalezienie dziewczyny żywej. Byłem niemal pewien, że jeśli nie znajdziemy jej dzisiaj, to będzie koniec. Jutro szukalibyśmy tylko ciała. Gdy dotarliśmy do krawędzi lasu, kazałem całej drużynie rozproszyć się. Ostatnim zrywem chciałem przejść tyralierą skrawek łąk dzielący nas od wioski. To, co drążyło z tyłu głowy, powoli docierało do mnie. Będą dwa pogrzeby.

– Idziemy w kierunku tej drogi przed nami! – starałem się przekrzyknąć burzę i machnąłem światłem latarki przed siebie, gdzie w oddali, w nieco zrzędłej mgłę ledwo rysowała się cienka, ciemna kreska drogi polnej okolonej drewnianym płotkiem.

Odpowiedzi nie usłyszałem, ale światła latarek skierowały się we wskazaną przeze mnie stronę. Z trudem przedzierając się przez wysokie, sięgające niemal pasa łąki, szliśmy dalej. Po lewej stronie zamajaczyła droga, ta sama, którą weszliśmy do lasu przy cmentarzu. Leciała wzdłuż stoków Rewekolu, a teraz wybiegała na wolną przestrzeń łąk pod Gardną. Omiotłem ją latarką i zobaczyłem, że znika gdzieś za ciemnymi bryłami kilku samotnych, nieoświetlonych budynków. Zboczyłem lekko z trasy i skierowałem się w ich stronę. Wkrótce nadziałem się na rozpadające się sztachety niskiego płotu. Przeskoczyłem nad nim i znalazłem się na podwórzu, zarośniętym niemal tak samo jak otaczające je łąki. Różnica była taka, że tu nie zapadałem się w wilgotną ziemię – wyczuwałem pod nogami twarde kamienie układające się w bruk. Spojrzałem za siebie, starając